


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jerzy Ficowski

***Wszystko to
czego nie wiem***

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Definitmim

Krzysztofowi Czyżewskiemu

Na stromych ociosach
w wyrobiskach czasu
odcisnąłem dłonie
na podobieństwo
kopalnych paproci
aby powieczny Chiromanta
odczytał mnie

wiem kiedyś kiedyś
będę znaleziskiem
dobyty z głębi przeoczenia
pełnym bogactw cierpliwych
jak krypta Tutenchamona
nie tknięta łupiestwem

zbieram się w sobie
a nie śpieszy mi się

Najpierw umrzeć trzeba

Warszawa 1995 – 1999

Za drzwiami świat

Wchodzą, wychodzą,
kiwa się klamka,
śpiewają drzwi, wieje.
Dorośli przybywają ze świata
o drzwiach z klamką srebrną,
przychodzą cioce, wujkowie, babcie,
przynoszą swoje zapachy,
swoje cudze głosy,
objuczeni zdziwieniem nie swoim,
z kieszeniami pełnymi ciekawości.
Potem odchodzą
za drzwi ze srebrną klamką
i zamyka się ich tam na klucz.
I kiedy zapuka,
to znaczy, że znowu wyjdą ze swojej szafy
tuż za drzwiami, gdzie się kończy dom,
gdzie wujkowie i goście
sterczą, milczą, czekają,
żeby ich wpuścić,
nieruchomi i wszyscy.
Każdy na swoim wieszaku.

Praptak – strach na wrony

Rozczapierza się różowe
w zielone piegi.
Skóra ściągnięta
z anioła trzciny,
plecionka trzy po trzy skrzydlata.
O jej łuskę się czochra
stary wietnamski wiatr.
Strach
„na wrony i złe duchy”,
praszczur – praptak! – Paula Klee,
w stronę domowego ogniska
ma twarz drzemki;
w stronę duchów, w stronę wron,
w moją stronę
ostrzy
swoje drapieżne symetrie,
wypuszcza strzały
celnych szelestów.
Wtedy wrzeszczą
nawet pióra wronie,
a na wodach
kręgi po upadku
śmiertelnie rażonych demonów.
Oto stoję przed nim
w British Museum,
zakochany we wszędobylstwie czarodziejstw,
spokojny i zadowolony,
bo właśnie
wygnał ze mnie ostatniego złego ducha,
co odlatuje za oknem
na oklep na londyńskiej wronie.

Szuflado!

Schronienie występnego słowa,
szuflado, Iliado rozległa,
dębowa, homerowa!
Będziesz trumną,
a służyłaś za kolebkę,
wyobraźni grzesznej ucieczko,
dziupło dla słów
pisanych szeptem,
skazana na podstolną wieczność.
Stół – rogaty czworonóg –
przez lata cię przeniesie
i kiedyś,
z nadziei zielonej,
którą w ciemności chowasz,
złota wyfrunie jesień:
słowa pożółkłe, nie moje.
Szuflado dębowa, homerowa,
sęki dawno zgojone,
spękane słoje!

Czapka gorejąca

Oto naiwny konterfekcik
staroświecczyzny zamierzchłej:

Jak z cylindra – magik,
wyciąga z czapki
szeleszczące bukiety płomieni,
i gasi, i zdeptuje,
żeby ich kto nie dostrzegł.

(Wiadomo,
na kim
czapka gore.)

Ach, gdzieżeś, cny rzezimieszku?
Gdzieżeś, mój ty Do Rany Przyłóż
z aureolą
Czapki Gorejącej?
Patronie niespokojnych sumień,
wyzuty z praw antenacie
tych, którzy
– spokojna głowa!
nie skrzyszają nawet iskierki.
Spokojna głowa
nie pali się,
nie wisi,
nie utonie.

Z makowskich bajek

* * *

Stawały milczkiem
pobok grodzisk
spokrewnione z puszczańskim dębem

Swarożyce,
Jarowity,
Dadźbogi,
w cztery strony zagapione,
czterogębe.

Przyszły po nich,
na rozstajach
przycupnęły gęsto
Frasobki,
Jony
i Maryje.

Ludek wsiowy wystrugiwał ci je
na obraz swój
i podobieństwo.

A potem pan Makowski
z onych bożych przodków,
ze strzech słomianych lada wioski,
ze szczęścia krzesanego z podków
sprawił świątki –
całkiem powszednie
nie odrośle od ziemi dzieciska,
co z ciemnych opłotków
przede dniem
gnają krowi ryk
na pastwiska.

Dziad i baba

Każdy rok im dawał dużo,
 każdy sękiem ich obdarzył.
Bardzo starzy oboje,
dziad i baba
 bardzo starzy,
 setne rosną w nich słoje
 wiekową okryte korą.
Tylko żuki oczu
ruchliwe
chcą się ukryć przed dudniącą burzą
 w chitynowej
 lśniącej skorupie.
Ach. Świat staruszków już znużył.
Czekają na piorun,
co ich na szczapy rozłupie.

Promień słońca

W ciemnej izbie,
w krzywej komorze
 krzywy senek przyśnił się głodom
 i z motyką
 na słońce poszedł.
Przyniósł stamtąd
złotą skibkę do dom.

 I już muchy
 na organkach grają,
 noc się kuli
 jak mysz pod miotłą.
A co sny po kątach splatają,
to się zaraz wszystko rozplotło.

W ciemnej izbie,
w krzywej komorze
 usiadł promyk
 jak kokosz na grzędzie.

 To dzień jedno oko otworzył.
Zaraz zamknie.
I znów nas nie będzie.

Skąpiec

Jest późna godzina sknery.

Wałęsa się po stole
pełna talarów pończocha,
o pazurki spiczaste się czochra
i oczy monet wytrzeszcza.

A skąpiec liczy i liczy:
dwa – trzy – cztery – –
i chciałby liczyć jeszcze,
ale jest już stary,
więc: cztery talary,
cztery talary...
bo tylko do czterech umie.

A jak się z rachunkami
przez sto lat uwinie,
kupi jeszcze pończoch dwie pary
swojej babie – fortunie
i diabełka
na nagłej i niespodziewanej
sprężynie!

Nos też zagląda do wora.
Jest sknery późna pora.
Ze ślepej sieni
gęby wzeszły,
chytne planety:

jedna – ruda, druga – na bakier.
I tę nogę w marchwiane prążki,
a w tej nodze złote krążki
złodziejaszek łapu – capie!

Hej, pobiegnie z nim noga po wesołych ścieżkach,
zadzwoń sknerze z daleka.
A za złoto dla dziatwy, co pod lasem mieszka
kupi się
chałwy trzy tysiące deka.

Kobziarze

Ej, dudziarze sękaci, kobziarze,
wiek za wiekiem
patrzy wam w twarze,
wór muzycznych wiatrów pełen –
całe wasze mienie,
potok uczył was,
co pasał na hali kamienie!
Ej, kosmaty bukłaku,
pełen nutek wszelkich,
zamykanych – odmykanych
na westchnień skobelki.
Ledwo promień cię ostrugał,
ledwo deszcz ociosał,
a już idzie twoim śladem
makowianka bosa.

Jeszcze kwartę śpiewu przelej
w malowane pudła:
przyjdzie niedźwiedź
z sennym trzmiem
zaplątanym w kudłach.

Maskarada dziecięca

Tam, gdzie betlejemscy kalejdoskopowie
nowe gwiazdy puszczają w obieg,
chwieje się miętowa
latarenka przedmieść,
język światła ją liże,
bo słodka.

Po zaułkach pobiegnie
i doleci najwyżej
na poddasza po skrzypischodkach.

Z nią zapustne nochale
wyruszają na łów,
na łów, na łów, na łowy:
jeden – żółtodzioby,
drugi – paprykowy,
trzeci – z niebieskich migdałów.

A każdy – długi, ostry i najcieńszy,
żeby przez dziurki od kluczy
wszystkie zapachy wywęszyć.
Cała czereda pajaców się włóczy,
zadzyszane nochale
dmuchają i sapią prędko,
i śpiewają swoje Słodkie Żale,
aż wiatr zrywa się
i chwieje latarenka.

Powrót ze szkoły

Mgły, wsparte na kosturach drzew
schodzą powoli z góry.

Już późno.

Pewno chłodno dziecku.

A w domu

śpią ciepłe kocury,

mrukliwe futra zapiecków.

Już od pola powiewy chłodne,

wieża po deszczu wyrasta

na świerkową modłę,

w środku jest pełna

fresków leśnych

i kornicznych płaskorzeźb.

W domu na pewno o tej porze

czeka matka i gaśnie gryka...

Chodźmy.

Słońce zaraz całkiem za świat się schowa:

już drzwi ode dnia zamyka

wielka jak zachód sowa.

Puste miejsca po

1. Tu był wysoki horyzont: biegł jak kot po dachach, przeskakując kominy. Nie ma już tej ulicy. Horyzont uciekł w pola, za Wisłę. Po domach, które tu były, zostało niebo – ciemniejsze niż naokół, jak ściana pod zdjętym obrazem. Gołębie z nawyku przelatują wyżej, a wieczorem zapala się księżyc na czwartym piętrze powietrza.

2. Noc jest pustym miejscem po dniu. Dwuwymiarowa jest ciemność. Dopiero dalekie poszczekiwanie psów z okolicznych wsi odbudowuje przestrzeń. I znów rozlegają się zagubione odległości. Gdybyś ruszył przed siebie na oślep, działałbyś tyleż, co trwając nieporuszony. I tak ciemność miniesz dopiero o świcie. Ale psy – znaki czuwających wiorst – upewniają, że nie wszystko jeszcze stracone.

3. Puste miejsca po kimś nigdy nie bywają puste. Rozrastają się we wszystkich kierunkach, nie wystarcza im obszar wyznaczony dla żywych. Ten, którego już nie ma, nie mieści się w ciasnym kręgu ogarniającym go za życia. Odkąd zniknął, zamieszkuje wszystkie miejsca jednocześnie, wypełnia najbardziej niepojęte pojemności. Jego materia nieuchwytna, jego duch dotykalny zastępuje nam wszystkie drogi, staje się kretem w czarnoziemie naszych snów. I dopiero czas wypiera go z opanowanych przezeń posiadłości. Ale i wtedy miejsce nie jest puste ani przez chwilę. Kiedy milknie żywa pamięć, która jest tworzywem tych, co odeszli, ostatnia ich siedziba bywa zaorywana pod nowe sady i nowe cmentarze. Cudze sady i obce cmentarze, nie podległe naszym obrządkom.

Odlot wieszaków

Gubiąc ostatni przydziewek
odlatują do krajów zaziemskich
wieszaki, ostatnie wieszaki,
ptaki szaf usługowe.
Z drucianym klangorem,
z łopotem drewnianym
nad nami.

Pod nimi naftalinosfera,
oddechy zdyszanych welen,
nasze troskliwe cerowanie,
zapięcia na ostatni guzik –

Wieszaki ujdą cało,
ubrane w nagość popłochu,
stromym gościńcem ptaków.

Obezwładnieni, niezawiśli
popatrzmy z gruzów zadomowień
jak tkwią wieszaki w powietrzu,
patrzmy na coraz dalsze –
my, zwiędłe gesty,
pozy obumarłe.

Moje niedosze podróże

– do Australii, Portugalii,
na Księżyc, do Puerto – Rico,
wszędzie, gdzie tylko nie byłem.
Do niebieskich brzuchów lodowców,
do umarłej pestki kamienia,
do labiryntu żółtych serów,
które są mumią mleka
i zachodem twarogu,
od tropikalnych wnętrz kaloryferów,
w ślepy zaułek ostatniego skrętu muszli,
gdzie bije źródło szumu,
do wzniosłości wróblego pióra,
które jest liściem ptaka, szczeblem wlotu,
które pisze najwyższe nuty świerkania,
do czułych serc starego gramofonu,
które się krają, rwą na strzępy
pod czarną płytą.

Wszędzie tam idę całe życie
i zawsze wiatr zrywa mi kapelusz,
i niesie go w zupełnie inną stronę.
Więc zawsze gonię, całe życie,
uciekające kapelusze.

Nawarstwienia kulturowe

Czerwone pnie gotyków
upstrzył nasz czas
sercami przebitymi strzałą,
przekreślonymi kółkami,
datami wiekopomnych odwiedzin.
Gdy przeminiemy, zostanie ślad,
dowiedzą się prawnukowie,
że dnia 4 VI 1957
bawiąc tu mimochodem,
Mundek z Mławy uwierzytelnił
gotyckie mury
i przekazał je niejako
potomności.

Czwartek

W samym środku tygodnia rośnie czwartek o barwie kurzu. To jest na naszych schodach miejsce skrzypiące bezboleśnie, to jest na naszych poręczach ta gładkość wyslizgana pokoleniami rąk. To jest ta mysz, co zdechła w swoim czasie pod kredensem, i nic z tego nie wynikło. Wszystkie czwartkowe motyle spelzają na niczym, lustra powtarzają nas we czwartek, jękają się, póki nie zgasi ich białe ziewnięcie.

Na dnie czwartkowych niżów chodzą niemrawe dziewczyny w przekrzywionych pończochach. I duchy kapuśniaków pokutują zamknięte w klatkach schodowych.

Pełnie czwartek pod żółtymi transparentami lepów, pod chóralnymi lamentami much.

Ci, co zapomnieli o środzie, a stracili nadzieję na piątek, wyją do czwartkowego księżycyca i przemijają. Dla nich czwartek jest wieczny.

Z mitologicznej encyklopedii

Fajerki

Aureole rusztów.
Kręgi kuchennych piekieł.
Obwódki tresowanych ogni.
Obwarzanki czerwone,
które rdza zjada.
Podkowy tętniących garnków.
Kochanki pogrzebaczy,
zgrzytające w ogniu potępienia.
A my pieczemy swoją pieczeń
na ich żarliwości.

Kran

Padają krople z kranu –
nasiona wielkiej wody.
Równomiernym tykaniem
odmierzają czas oceaniczny.
Kran czasem śpiewa,
a to jest śpiew syreni,
znany żeglarzom i zlewom.
Władczyni potopów ciurka
z hydraulicznych źródeł,
pokorną strużką przychodzi
na kuchenne usługi.

Popielniczka

Przytułek doczesnych szczątków,
co wyzionęły dym.
Na dnie syczy okruch ognia
nie pogodzony z popiołem.
I spadają
komety impregnowane
do urny z prochami zamyśleń.

Stół

Stary stół –
pukać trzy razy
w niemalowane.
Potomek drewnianych bóstw
ze świętym komikiem w łonie.
Odpukać trzy razy
na pomyślność pełnym półmiskom,
przeciw urokom i komplikacjom.
Pod elektrycznym Duchem Świętym
stół nawiedzony,
drzewo wbrew woli przemienione,
materia zakuta w dyby celowości,
rozpięta gwoździami na sobie samej,
człowiecza bardziej niż drewniana.
Stary stół –
pukać trzy razy.

Szyszka

Przybieżeli świerkowie
niosący szyszki swoje,
a każda powieszona
za ogon na gałęzi,
okryta zieloną łuską,
to jest właśnie ta ryba,
zielona ryba odwieczna,
co wisi i śpiewa
żywiczne kolędy.

Świeca

Nad każdą świecą bogobojną
wisi na czarnym włosku
kropla złota
podszyta błękitem.
Z każdej świecy się wylęga
zawieja komarów,
i schodzą w dół,
zapadają w cień
woskowe procesje.
A diabeł zgłasza się
dopiero po ogarek.

Ikona

Mruży oczy noc ormiańska,
ale już lilia wschodzi,
już dzień biały, lilia mleczna
smagłą piersią wykarmiona
do białości. Już południe.

Złoto po Maryi chodzi,
do stóp spada złoty orzech.
To już wieczór. Zmierzch, zamierzchłość.
Dłoń u dłoni, aby skoczyć
w modrą wodę wniebowstąpięć.

Ale głodna lilia płacze,
ale więzi złote pnącze.
Noc ormiańska oczy mruży.
Milknie lilia trupioblada.
Już noc.

Lewe strony widoków

Różowe brzuchy kamieni karmią ziemię wilgocią. Reszki orłów, sów i wróbli, wstydlivy tyłek księżycy – moja opaczna monarchia: lewe strony widoków dostrzegalne psim węchem.

Tam puszczasz swojego psa – rzuca się wplaw i aportuje, niosąc ci w pysku upolowany widnokrag. Tam spokój i prawo istnienia zapewniają mimikry i symulacje. Mieszkaniec zieleni może sobie pozwolić najwyżej na czerwoną wątrobę.

Udające śmierć ubiera się w sztywny bezwład. Udające nicość pogrąża się w tłach. Udające drapieżność – jastrzębieje szponiasto. Tam – pod spodem, z lewej strony – jest resztką barw w ostatnim schronieniu. Porasta bielmem zagłuszającym ich obecność. Tylko czasem wiatr rozdmuchuje sierść powszedniego i odsłania na jedno rozwianie olśniewające pierwotniaki kolorów.

Niech będą pochwalone popielatoskrzydłe anioły – stróże Mimikry. Pod każdym swoim piórkiem przenoszą źdźbło prawdomównej tęczy.

Zmierzch o świcie

*Pamięci Witolda Wojtkiewicza (1879 – 1909)
w pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci
i osiemdziesiątą – urodzin*

Niech się garbią kołyski pośpieszne
w trumienne wieka.
Puszczajmy łódki z papieru,
niech płyną
przez glebodajny Styks.
Wyległe z sęków koniki
niech tratują ścieżki dzieciństwa.
Niech krzyczą, niech drą się
ostatnie szmaty koloru
tuż przed swym szarym końcem.
Niech trąby Sądów Ostatecznych
szepczą na ucho, gaworzą
o wszystkim, co się nie zdarzy,
nam osaczonym
przez cztery strony świata,
bijącym głową w mur powietrza.

Trzeba ciągle odczyniać noc,
zachłyśnięte piszczałki
karmić skocznym popłochem.
Tak chce arena,
krągły cmentarzyk,
na którym właśnie pochowano księżyc.
Przedrzeźnia go piasek,
chichocze farbka maskarady:
dopiero co rozdziawiał srebrny pyszczek,
trzeptał pustymi skrzelami.
Przebiła go karuzela osinowym kołem.
Będzie zdychać – srebrne ścierwo.
Tak chce dziobaty Archanioł przedmieść,
pastuch naszych odświętnych zodiaków.

W taki dzień, kiedy syczy słońce,
w taki dzień bez dnia – zmierzch o świetle
ożywione gałgany, umartwione twarze
leżą na dnie. Nie dniją koguty.
Trzykroć milczą. Pada noc rześista.
Wszystkich, co się jawy zaparli,
sen burzliwy unosi, poniżej
z boku na bok, z boku na bok, z boku na bok.
Aż po trzecim milczeniu koguta
u drzwi staje szmaciany zbawiciel,
trocinami brocząc na progu.

Paryż! Paryż!

Wszystkie czerwienie mają kształt ust. Nawet – s'il vous plaît – nasze skromne mazowieckie czeresienki. Piszemy więc mową rozwiązłą, a zamiast kropki – odcisk ust. W bufecie kolejowym w Radomiu pijemy małe jasne, i świat widziany przez pełen kufel jest pozółkły od lęku Van Gogha, a kufel – mon Dieu! – też nie ma ucha. Paryż! Paryż! Oj da dana, da dana!

Wspinamy się na cokoły komód i marzymy symbol Nowej Sztuczki: Linie Prosta, która jest szypułką, a na jej końcu wisi czereśnia o barwie ust. O, słodka kropelko Marsylianki, spłyń, planetko naszej maligny, kapnij do postnych barszczów tutejszych!

Czekamy na ciebie geometrzo form, skoczybruzdy cudzej wyobraźni. A lud niechaj nam wtórzy: Paryż! Paryż! Oj dana, da dana!

Przedświecie

Oset – sam, kolec stokrotny,
przestroga, ostroga chmur.
Nie dowierzajcie
doskonałości widnokręgów!
Tu chłopcy o oczach wzniosłych,
strojni w bławatki sińców,
wysokim gwizdem
mieszają w niebie gołębie.
Tu zmrużone dziewczęta
z macierzyńską kołysanką oddechów
kolebią piersi w stanikach.
Tu starzy ścinają rabarbar
(można go ścinać – on nie krzyczy).
To wszystko u nas
– na przedświeciu.
Tu sprawy insze i inaksze,
tu już nie kora miast,
nie porost przedmieść:
tu listek zawszi,
tu kończą się emalie
i baby chude mliko niesą
w glinianych cyckach
do siorbania.

Entomologia

Brzęczy żółc, o światło
żądło miodu się ostrzy.
Szeleści szarość – ognia sierść.
Krażą godziny błonkoskrzydłe
wokół naftowej wieczności
w muzyce późnych sfer.
Filuje modro,
coraz widniej
taka zawieja kołująca,
takie pole, taki polonez,
jakby radziwiłł chrabąszczy
zagrał na własnych wążach.
Bezwstydnny lot, kołowrót
obnaża kolor –
ton za tonem, okrakiem na powiewie.
A w sześciokacie
pszczelich wosków –
Oko Instynktu.
Wie wszystko.
O niczym nie wie.

Pismo obrazkowe

Czterdziesty pierwszy wiek spojrział na mnie.
Przyszedłem tu po Champollionie
w krainę artykułowanego milczenia,
w kraj nieznaczących cykad,
w hieroglificzne szepty pustyń,
obudzone, wyrwane z ciemności egipskich.

Znaki ruszyły z miejsca przez piach tysiącleci,
włokąc długie zaprzęgi zmartwychwstałych znaczeń.
Ptak nie śpiewał po powietrzach, stał się zgłoską.
Wielbłąd zbył się wyniosłości, stał się zgłoską,
aby dociągnąć do nas zwłoki Faraonii.

Czas wam odpocząć, znaki, od poczęcia alfabetu
skarłale i nieswoje, powróćcie, krzyknijcie,
ptaki znów trzepoczące, ptaki znowu ptasie.
Jaszczurki, przemknijcie przez tysiąclecia
zieloną błyskawicą – na powrót jaszczurcze
zamigoczcie w swym czasie odwiecznym i prędszym.

Zakłęte w jednoznaczność, zniewolone sensem
uciekajcie z pustyni w popłoch i przelotność.

M ó w i l i t e r a:

Zanim stałem się zgłoską, byłem.
Byłem ptakiem, nie słowem, ostrzyłem piórka o wiatr.
Dozwolone mi były i barwy, i zmienność.
Uwięziono mnie w znaku. Wypuść mnie!
Odfrunę z grzęd papirusowych,
siadę na twojej dłoni, gdy znów będę,
wrócę do ptasiej mowy.

M ó w i l i t e r a:

Byłam jaszczurką, jedną z tych,
co się gnieźdzą w szczelinach kamiennych.
Złodzieje piramid chwyтали mnie,
sądząc, że jestem szmaragdem.
Znałam drogi gadzie i pokrętne.
Dziś trwanie na linii prostej
jest mi dane w łańcuchu oznaczeń.
I nawet nie znam brzęku
własnego ogniwa.

M ó w i l i t e r a:

Byłem rybakiem. Rozumiałem
aż do dna Nilu
ciężkie milczenie ryb,
oporną ciszę sieci.
Dzisiaj sam oniemiałem,
nie mam ust,
jestem kształtem obcego dźwięku.

M ó w i ę j a:

Byłem literą, znakiem, dźwiękiem,
drobną liczbą w fałszywym rachunku,
ściegiem grubymi niemi szytym.
Siadałem w cieniu znaków przestankowych.
Byłem miną spłaszczoną do białości
na witrynach chępliwych mód.
Odkąd wróciłem, sam, do siebie,
wypuszczam znaki z czyścica
w głębie korzenne, w praistność,
przywracam skamielinom oddech,
ciszy – krzyk, który ją spłodził.
Wędruję liniami twej dłoni
w persje wróżebne, koczujące
aż po różany wschód paznokci
na brzegach nocy barbarzyńskiej,
gdzie przyfruwają z alfabetów,
z algebr i godeł, z drogowskazów –
znowu przelotne i pierzaste
znaki, co tylko siebie znaczą.
I egipt starty w proch i piasek
przymyka noc swą, oślepiiony
grząską słodyczą pocałunku.

W Abrakadabrii

(moderato)

Ach, co za zmyślony kraj!
Szafoty wybaczą ściągniętych.
Przez przytulność idą wiorsty wiatru.
A w nocy śpiącym w bok ostrogą
taka piosenka:

W Abrakadabrii
salut poległych.
Werble bełkocą
chwałę poległych
w Abrakadabrii.

Ręka dobosza
dźwięcznie uderza
w sprężystą skórę,
zdartą z poległych
w Abrakadabrii.

Taka piosenka.
Bardzo melodyjna piosenka,
wystukiwana kikutami rąk.

Epos pluszowy

Od schyłku stulecia
chyłkiem,
frędzlami przebierając,
pełzną żywotne skóry,
liniejące sierści
otomanozaurów,
trofea z salonowych gąszczy.

Tam prawujowie
szli na łowy
do zielonej,
do alkowy,
tabaki wzięwszy –
pif – paf – z dwururek nosów!
I futra ze zwierzyny zdarte
na drzewca futryn
tryumfalnie!

Oto jest epopeja wszystka.
Plusz kończy się
frędzlami.

Koniec.

Przyśniłem się

Przyśniłem się. Z daleka od siebie.
Odtąd zacząłem istnieć – spotkałem się ze mną,
niosąc przy sobie w środku dnia
gwiaździsty klucz nie swojej nocy.
Przedtem bywałem tylko:
mój własny cień
udawał, że mnie potwierdza.
Teraz żegnam. Już więcej
ze sobą się nie zobaczę:
pochowany z daleka od siebie
w pokładach nieprzychylnej jawy
otwarcie oczu i ziewnięciem.

Egzorcyzmy

Dzwony

Dzwony

dzwony

dzwony –

przelewanie

z pustego w próżne,

wniebowzięcie powietrza.

Nawiedzony

przez demona ciszy –

przyzywam dzwony,

które mam w odwodzie,

by go utłukły

w mózdzierzach

de profundis.

A wtedy gołąb z dzwonnicy

jako strącony anioł

gubi pióra płochliwe –

zadatek

na moją lotność.

W godzinie aniołów

Bursztyn księżycyca o tej porze
skrzydła ci w niebo unosi, aniele,
a tymczasem godziny oswojone
zamknięte są w zegarkach.
Zataczają błędne koło
na ostrzach wskazówek
(zmieści się na nich godzin
więcej niżli aniołów
na łebku od szpilki).
Dziczeją minuty, milkną pienia:
jest czas strącenia pysznych
i swąd osmalonego pierza.
Dzielimy się swym głodem.
O, jaka białość! – To anioł?
Nie, to już dzień, wczorajszy śnieg
i zupełnie inna godzina.

Z nieruchomości

Dom pod numerem
z oknem otwartym
na kamienie, na pianie tramwajów
i nagle ta ćma
z furkotem zagór, zalasów
w światło takie truchlejące,
w tę osiadłość!
I z zacieków na tynku
krajobrazy wypelzają ruchome,
horyzonty przecinają ściany –
i oto znów mi przysługuje
metraż niezmiernego świata.

Wyruszymy znowu, jak dawniej,
drogą, borem, taborem,
aż przystaniemy – przydrożni –
odpocząć wszystko od początku
u końskich kopyt,
u korzeni sosen,
na skraju lasu,
na krawędzi dnia,
dorzucimy do ognia
nieruchomości i ciułactwa,
nie zazdroszcząc ogniskom:
niech one
miejsca zagrzeją.

Zaręby Kościelne

(rzecz o końcu świata)

Tu wszystko podkościelne,
panie dobrodzieju:
są wory konopne – pokuta plew,
habity przezuwania
nad grzebiącym kopytem,
szepty żarn,
powietrze gzi się,
gniady dreszcz
much przeżegnany zygzakiem,
słoma pełźnie u drogi
pod wiatraków obrotne krzyże.

Zaręby Kościelne na płask,
dziewosłęby burzowych chmur
z Nienależkami w stojących cieniach,
ze Złotorią w zadyszkach ściernisk,
z moimi dziadkami pośrodku.

Czas ich omijał pod miedzą
w przebieraniu różańców na zbawienie,
w przebieraniu malin na sok.

Byli dziadkowie przez stulecia,
już ich, panie dobrodzieju,
nie ma (pukałem, szukałem),
tylko kopiejka po nich,
na niej śniedź koloru
umarłej nadziei
w szparze podłogi,
mysz w piwnicy,
na strychu – wysokość.

Tu ćmiła jeszcze kongresówka,
kanapa się w niej zasiedziała
z kretelem oślepla,
pusząca się swą modą,
w dżetach naftaliny,
tu oleodruki ukradkiem
cuda czyniące,
wysoko kawki
głuche od bicia dzwonów,
księżę służki,
stare panny modrookie

labiedziły nad nieszporami,
nad sumą obleganą
przez ryże rzenie jarmarków,
aż w szafie
zdążył zgasnąć na zawsze
ostatni mól.

I stała się ciemność.

Aluk

Kuli na przekór
bez cienia
podobieństwa
samym światłem różnic
stworzyłem opaczną kulistość
zwaną aluk

Moja kula
jest przeciwna kuli
dookolnie wklęsła
Pominąłem utartą powierzchowność
zstąpiłem w głąb

Oto w niej jestem
więzień dobrowolny
ale ona po wierzchu
skulona w wypukłość
potocznie
toczy się zwykłą kulą
obrotnie
obracając wniwecz
owoc mojego trudu
stwórcę zmieniając
w pestkę

Ś. P.

Święta Pamięć
ma zwyczaj pośmiertny
ucieczki
więc ją wstrzymujemy
kamieniem zamkniętym
na tysiąc rygli ciężaru

Święta Pamięć uwieczniona
nad nią personalne dane
niech jej kamień ciężkim będzie
amen

Aż w jakąś małą Wielkanoc
czas kamień odwali
znad Świętej Pamięci

Święta Pamięć wniebowstąpi
alleluja w zapomnienie
by je uświęcić

Osobno

Osobno leży
rudość
w usypiskach rdzy
w opadach liściastych
u schyłku światła
gdzie barwy chrypną

Słońce skrzypi na wietrze
Chodźmy gdzie pieprz rośnie

Gdzie powietrze nisko
nastroiły trzmielce
gdzie kret pod nami
dołki kopie

Wolę cię w trawie
Nie jesteś osobna

Isztar zstępująca w noc

Biecie

Ku ziemi bezpowrotnej, w krainę
ciemności Isztar, córka Księżyca,
znijść postanowiła...
z „Zejścia Isztar do Podziemi”

Poprzez puste trójkąty
oczodoły opatrności
sypał się asyryjski piach
na wieży bąbel wzniosłość
gdzie w pocałunkach
zmieszały się nasze języki

Szła Isztar zstępująca w noc

Przez ławice ryb błogosławiących potop
srebrnymi wotami łusek
przez wszędobyłską asyrię szła
z kraju Ochry do ziemi Sepii
klinowym pismem kroków
zapisująca każdy rudy zachód
by się utrwalić w jego glinie

Szła Isztar zstępująca w noc

Przechyla pełną amforę
gilgameszowej nocy
poi mnie czarnym mlekiem
Mamy więc dom pod skrzydłem sowy
na szybkobieżnych ścieżkach mrówek
i babilony czułych milczeń
bez słowa znaku i bez liczby

Szłaś Isztar zstępująca w noc

Każdy krok obnażał cię z ciemności
gwiazdy wkręcały się w twe włosy
grzebykiem liter babilońskich
wyczesywałaś z włosów gwiazdy
Dopóki dobrze jesteś sobą
póki nie wyszłaś na powierzchnię
pisać najdalszy ciąg eposu
na glinach dróg

dopóki ty
przedłużam noc
swym własnym cieniem
by Isztar nie spostrzegła dnia

Mój nieocalony

Pamięci Brunona Schulza

Tyle już lat
na mojej antresoli z belek
między sufitem a sienią
ćmi światłość wiekuista na 25 watt
zaciemniona pstrzynami much
za barykadą makulatury

On tam jest nakręca zegarek
nie wygania pajaków śpi

Chyba już przetłumaczył wszystkie sęki
jego cień nieruchomy tynkiem zarasta
czasami nie ma go nawet
po godzinie policyjnej
bawi w Hajdarabadzie
odmyka kolejne słoje
wchodzi w drewno coraz drzewiej i drzewiej

W niemalowanej desce
sen mój dzisiaj zapukał do niego

Panie Brunonie już można
niech pan schodzi
A on czeka na niedoczekanie
nie może słyszeć mojego snu
on nikt
trzeźwiejszy niż ktokolwiek
wie że nie ma antresoli
ani światłości
ani mnie

Apokryf jabłka pierworodnego

Zaprawdę to jest Jabłko które
chce być zjedzone
Jabłko słodkiej niewiedzy
dobrego i złego
jabłkowite jableczne jabłonne
zatacza się ściśnięte w sobie
jak pięść
aż ranią je własne pestki

Wokół swej niecierpliwości
spiesznie obraca się ewie
aby miała naraz
wszystkie rumieńce

I rzecze Jabłko
zaprawdę jam jest Jabłko
które chce być zjedzone
zaznać twego języka
twych zębów twego podniebienia
Zjedz mnie niechaj się stanie
jak mojesz przykazał

Wszelako ewa spod powiek
pożera Widok Jabłka
ewa mruganiem
dzieli jego pożywne rumieńce
na kęsy
ewa nie tyka Jabłka
nasycona jego wołaniem czerwonym
po czubki rzęs

I Jabłko oszalałe
zrywa się z gałęzi
I ewa pada
pod ciosem jabłkowym

Dziś niegdyś

Właśnie otwieram drzwi
trzydzieści lat temu

Dzisiaj znalazłem klucz

Spotykam cię właśnie przy oknie
trzydzieści lat temu
Nie czekałeś długo
Jesteś dopiero młody

Muszę zapobiec
wszystkiemu co się już stało

Tylko przyszłość
nie da się odrobić

Konterfekt arcychrząszcza

Sherbusynom poświęcam

Chrząszcz heraldyczny
mieszaniec żuka z herbem
wizytuje o zmierzchu
swoje czerwcowe latyfundia

Spity omszałym chlorofilem
tłucze głową w mur
i korona nie spada mu z głowy

Rodacy jego tęgopokrywi
na popasach
pożywają szpik
drzew genealogicznych

Odwłok Jego Excellencji
we zbroi i w błysku
brzmi w trzcinie
wszem wobec
i każdemu z osobna

że się wywodzi z rodu rodów
nie w prostej linii
lecz zygzakiem
ukośnym lotem krętym brzękiem
wśród wzniosłych dróg
entomologii

Traduction

Helenie Rubinstein

Przetłumaczono go
na paryski

Jego ulegalki
nadęły się w pomarańcze

Przez jego głowę mur
przebito tunele

Jego potknięcia
wyokrąglały w reweranse

Z jego popiołów
narodził się feniks pudru

Jego wylewne rzeki
zamknęły się w sobie

Jego jałowy krzyk
zniósł jajko nuty
usiadł na grzędzie pięciolinii

Jego miłość
hélas
jego miłość skrzydlata
brzęczy
na lepach
szminek

Wiedza i bezwiedność oczu

Przez ogień który miał im zabrać bliskość i odległość
wokół buzującego w schronach niepamięci
przelatują zalotnie
nie osmałą jednej rzęsy

Przez dym co oślepił nawet i przewidywanie
w dymie tak dobrze znanym z niewidzenia
patrzają lekko
nie mrużą świata

Ich łza ledwie starta tak wiele pomija
prawiedzy stratowanej bez dat i bez imion
Dalekowzrocznie niosły ciężar bezwiedności
aż do tej łzy

Ptak poza ptakiem

Patrz
ptak ucieka od siebie
łopotem
wrywa się z gniazda trwania
chce odpocząć od piór
wymknąć się z ptaka

Ale nie umie
wyprzedzić siebie
choćby o dziob

Patrz
ptak zwyciężony
z nieodłącznym sobą
sfruwa na gałąź

Ptak na gałęzi
śpiewa wszystkie strony
dosięga siedmiu ech jednocześnie
przebywa sprzeczne odległości

Patrz
ptak zwycięski
w całym lesie

ptak poza ptakiem

* * *

nie zdołałem ocalić
ani jednego życia

nie umiałem zatrzymać
ani jednej kuli

więc krążę po cmentarzach
których nie ma
szukam słów
których nie ma
biegnę

na pomoc nie wołaną
na spóźniony ratunek

chcę zdążyć
choćby poniewczasie

Do Jemszalaim

a droga była długa
do Jeruszałaim
jak taś pręgowana
to w światło to w ciemność
na noce i dni

stał blask Jemszalaim
za najdłuższą z nocy
i dojrzewały skrzypce
jak gruszki na wierzbie

a w berdyczowie rejwach
karczma bałaguła
i pogromy i świece
zapalane gwiazdą

i zmawiane nabożnie
słone wersety śledzia
z komentarzem cebuli
na głodów odpuszczenie

przez podlasia Zarzecza
przez jesień zgarbionych lichtarzy
przez komory gazowe
kirkuty powietrzne

szli do Jeruszałaim
i martwi i żywi
w swoje powrotne ongiś

i aż tam przemycili
garstkę wierzbowych gruszek
i na pamiątkę
ze śledzia
do dziś kłującą ość

Epitafium żywcem umarłego

Osaczony
śmiertelnie się bał
całe pięć lat
tego księżycy wątroby
co go rozwidniał
od środka
chłodem

tego morza martwego
oddechów
w którym nie tonąc
obrasła solą
niedoczekania

śmiertelnie się bał
księgi mojżeszowej
swych dziesięciorga palców
i kędzierzawej góry synaj strachu
ale przeżył

ale przeżył
siebie

Wniebowzięcie Miriam z ulicy zimą 1942

nieprzeliczony schodził śnieg
osunęło się niebo w strzępach

więc wniebowstępowwała
mijała bezruchem
biel za bielą
łagodną wysokość
za wysokością
w eliaszowym wozie
poniżenia

nad upadłymi aniołami
śniegów
w zenit mrozu
coraz bardziej ponad
hosanna
uniesiona
na samo dno

5 VIII 1942

Pamięci Janusza Korcwka

Co robił Stary Doktor
w bydłym wagonie
jadącym do treblinki dnia 5 sierpnia
przez kilka godzin krwiobieg
przez brudną rzekę czasu

nie wiem

co robił Charon dobrowolny
przewoźnik bez wiosła
czy rozdał dzieciom resztę
zdyszanego tchu
i zostawił dla siebie
tylko mróz po grzbiecie

nie wiem

czy kłamał im na przykład
małymi dawkami
znieczulającymi
iskał spocone główki
z płochliwych wszy strachu

nie wiem

ale za to ale potem ale tam
w treblince
całe ich przerażenie cały płacz
były przeciwko niemu

ach to było już tylko
ileś tam minut czyli życie całe
czy to mało czy dużo
nie było mnie tam nie wiem

zobaczył Stary Doktor nagle
że dzieci się stały
stare jak on
coraz starsze
tak musiały dogonić siwizną popiołu

więc kiedy go uderzył

askar czy esesman
zobaczyły że Doktor
stał się dzieckiem jak one
coraz mniejszym i mniejszym
aż się nie urodził

odtąd razem ze Starym Doktorem
pełno ich nigdzie

wiem

Sześćcioletnia z getta zebrząca na Smolnej w 1942 roku

ona nie miała nic
prócz oczu na wyrost
w nich całkiem niechęcy
dwie gwiazdy dawidowe
może by je zgasła łza

więc płakała

Jej mowa
nie była srebrem
warta co najmniej
splunięcia odwrócenia głowy
jej mowa płaczliwa
pełna garbatych słów

więc zamilkła

Jej milczenie
nie było złotem
warte co najwyżej
5 groszy może marchew jaką
bardzo grzeczne milczenie
z żydowskim akcentem
głodu

więc umarła

Pożydowskie

ona ma szafę z której suknie
zdążyły jeszcze wyjść
ale i tak by wyszły z mody

fotel z którego wstał ktoś kiedyś
tylko na chwilę
a wystarczyła mu na resztę życia

półmiski garnki pełne głodu
ale przydadzą się
do syta

portret zabitej dziewczynki
w żywych kolorach

mogła mieć jeszcze taki czarny stół
w dobrym stanie
ale się nie spodobał

smutny jakiś

Co jest

CO JEST

Już nic
właściwie nawet już nie ma
niczego

tylko harmider takiej ciszy
tylko tumult pustkowia
zbity tłum nikogo
zachodzi
pod żółtą łatą słońca
aż ją zakrwawi

A MOŻE W MSZCZONOWIE
JESZCZE KTOŚ TAM
DAJMY NA TO JANKIEL SADOWNIK
KOMU ZASZKODZI JABŁKO
ON MIAŁ DOBRE JABŁKA

on był siwiutki
jak kwitnąca jabłoń
nieraz pszczoła
mruczała mu w brodzie

CO U NIEGO SŁYCHAĆ
PAN NIE POWIE ŻE
ON OSZUKAŁ NA WADZE
ALBO NA SUMIENIU

Nie powiem
u niego słyszeć
papierówki poblądłe
to nie ucieczka
w buciorach juchtowych
z zelówkami strachu
to słyszeć
tupot jabłek
w rozwianym chałacie nocy
Jankiel robi swoje

CO ZNACZY

Znaczy jemu się powodzi
pogania do galopu
truchcik jabłkowity

on jedzie coraz bardziej niegdys
do kahału wiecznego snu
po dzwonko lewiatana

w szabes
czas bałagula
złazi z kozła
można go zastać
nad lichtarzem dziewanny
co bodzie niebo
całe w sińcach chmur
można go spotkać
kabalistę dwunastu liczb
zbrojnego we włócznie wskazówek
i tarczę zegara

NO I CO Z TEGO
CO ON Z TEGO MA

No to sfruwają do niego tak myślę
imiona puste
znane na niepamięć

małki gitle rachele
i mendle jękliwe
z piołunów niosą gorzki miód
taki miód
trefną żółć świata

Odczytanie popiołów

w piątek na zakościelnej
Jeruzalem wzbiera
powstają złotouste
izajasze świec

pod szyldem
szatan cynamon i ska
sary małki Judyty
kładą się do snu

na swoich piersi
dwugarbnych wielbłądach
wiozą gwiazdy na zasiew

koźlątko na postronku
mówi negew negew
i wszyscy wysiadają na środku pustyni
będą pod Sochaczewem swoje gwiazdy siać

Krajobraz pośmiertny

Tę niepośpieszną trasę
MOKRA WIEŚ
SZEWNICA
znam z pociągów dzieciństwa
URLE
ŁOCHÓW
OSTRÓWEK
tytuły podróży
perspektywy wakacji piaszczyste
widzę dawnowidz widoki
uchodzące w lipiec
SĄDOWNE
drzewa uniesienie drzew
zamiast padać podcięte mijaniem
maleją zanim zginą
zdmuchnięte odległością
PROSTYŃ
nawet ptaki dowolnie wielokierunkowe
muszą się poddać
machną nam ostatnim skrzydłem
to tylko dwie godziny
wydzwania je na Bugu most

Potem się tam czepiali
gdy mnie już nie było
bezpowrotnych akacji
ptaków ostatecznych
przez okienka bydlęcych
przez szczeliny w desce
nad przylądkami bocznic imieniem SADOWNE
nad żerowiskiem lokomotyw imieniem MAŁKINIA
rozlegały im się
w odjezdnych kirkutach
czarne lamentsy gawronisk
nad towarowym z węglem
nad bydlęcym z płaczem

O już dawno wagony wagony wagony
przejechały tamten krajobraz na śmierć
a on pośmiertny do dziś trwa bezkarnie
nie ma świadków zginęli
trup mojego dzieciństwa
jechał między nimi

Egzekucja pamięci

Gdy pierwsze łaty śniegu
tają
na błotach
pod miasteczkiem
chlupoczą kamasze

wraca czarny
pochód chasydów
siwobrodych

poznają starego Apcie

gawrony
sylabizują kanciasto
hebrajskie wersety
gałązek

Tu stała kiedyś bóżnica
z ptasią dzwonnica topoli

Konary wzniesione
jak ręce

witają salwę ciszy
i pamięć zabita pada

beźlistnym szkieletem cienia
na wznak

i nagły upływ czasu
znów roztopami broczy

* * *

Muranów góruje
na warstwach umierania
fundament wsparty o kość
piwnice w wyrwach
opróżnionych z krzyku

Było nie było jest jak jest

Jest spokój jęków uprzątniętych
czarna luna zdechłego ognia
mocno stoi Muranów
na pochówku pamięci
większość listów dochodzi

Było nie było jest jak jest

I ja jak on wy dźwignięty
na powierzchnię popiołu
pod gwiazdy z tłuczonego szkła

Było nie było jest jak jest

chciałbym tylko milczeć
a milcząc kłamię

chciałbym tylko iść
a idąc depczę

Próba czasu

Oú est trés... trés belle... treblinká?
zapytał wagon, było w nim ze dwustu.
A moja matka z węzełkami szła.
Przystanęła. Zapomniała po francusku.
[bocznicą kolejową w Małkini, 1942 (?), 43 (?)]

Od topografii zacznij Paraego
znajdź przybliżoną datę w oddaleniu
i nie bij głową w mur tej ciszy
odpowiedz jej wymijająco
Powtórnie nie zapyta Zresztą tu
(bo mieszkam tuż pod bokiem
nie przebitym włócznią) tutaj jest inaczej,
ptaki bezpiecznie mają gniazda Sosny
pasione prochem więc strzeliste
idą w górę Wybucho ten proch sosną tylko
wysadza tylko las w powietrze
Tu ze skakanką siedmioletnia
zrywa poziomkę Coś ty Wypluń
Patrz sosna tutaj ma igły sosnowe
tu trawa ze zwyczajnej trawy
nawet poziomka jest okrutnie słodka
Ale obłoki kłębią się jak dym
ale krwawi na ścieżce poziomka wypluta
ale ciągnie nad lasem
klucz hebrajskich liter
Poza tym spokój Gdzie Treblinka Tutaj

Zakończenie obrządku

Topolę siedmioramienną
zdmuchnął wiatr
gasną strącone iskry
liści

W kopciu wron
dymi chmurą

Twoje matki obie

Biecie z miłością

Pod Torą nadaremna
pod uwięzioną gwiazdą
urodziła cię matka

masz dowód na nią
niezbity nie zabity
bliznę pępka
znak rozstania na zawsze
które cię nie zdążyło zabołec

to wiesz

Potem spałaś w tobołku
wyniesionym z getta
ktoś powiedział że w skrzynce
skleconej gdzieś na Nowolipiu
z dopływem powietrza
bez dopływu strachu
ukrytej w wozie z cegłą

Wymknęłaś się w tej trumience
zbawiona ukradkiem
z tamtego świata na ten świat
aż na aryjską stronę
i ogień zajął
pusty kął po tobie

Wiec nie płakałaś
płacz bywał śmiertelny
luminal cię usypiał
swoją kołysanką
I prawie cię nie było
żebyś mogła być

A matka
ocalona w tobie
mogła już wstąpić w tłumną śmierć
szczęśliwie niecała
mogła zamiast pamięci dać ci
na odjezdne
podobieństwo do siebie
i datę i imię

aż tyle

I zaraz się zakrzętnął
koło twego snu
ktoś przygodny napędce
i został już na długie zawsze
i obmył cię z sieroctwa
i spowiął w miłość
i stał się odpowiedzią
na twoje pierwsze słowo

To twoje matki obie
nauczyły cię
tak nie dziwić się wcale
kiedy mówisz
J e s t e m

Opowiem ci historię

Opowiem ci historię
nim się wynurzy oczyszczona z nas
więc z piasku
nieźle zachowana
jak szkielet plezjozaura
pod pustynią gobi

Opowiem jeszcze ciepłą
od oświęcimskich pieców
opowiem jeszcze mroźną
od śniegów kołymy
historię brudnych rąk
historię rąk odciętych

nie ma jej w podręcznikach
by nie pobrudzić
białych plam
na mapie czasu i czasów

Opowiem ci historię
tę nieopisaną
która przyjeżdża z rzadka
na snów ekshumacje
mam na dowód milczenie
przestrzelone na wylot
dlatego mówię szeptem
opowiem historię

Ale jej nie powtarzaj

Gryps

Ciemno
pomiędzy nami
czernidło ciemności
choć dzień biały
jak laska ślepcy
o kamień klekoce
więc twój krzyk dalej niosę
chociaż przekreślony
krat krzyżem wielokrotnym
twoim głodom
chleb rzucam
a ptaki go zjedzą

Bronię cię
po omacku
ratuję po ciemku
znajdę na chybił trafił
ominę niechcący
gdzie czuwasz
świecisz jeszcze
gdzie śpisz
gdzie umarłeś

* * *

*pamięci Maxa Broda,
który łamiąc testament Kafki
nie spalił rękopisów jego dzieł*

W temperaturze 38 i 5
przychodzi tu
z sakwojazem uchodźcy
stary kaszel
wyleczony z Franza Kafki

Zagłusza rękopisy
którym poskapiono
życzliwości ognia

I szepce mój Maksie
wybaczam ci Tylko
co zrobić z tym
stutomowym milczeniem

Maksie mój Maksie
spal tę moją ciszę

Epos

cieniom Artura Grottgera

w tyle lat po swej śmierci którą znał ze szkiców
wziął znów kredki wystygłe z gruźliczej gorączki
w środku swego cmentarza co zmarł po raz wtóry
m o r t i s c a s u zamyślił rysować powtórnie
swoje biedne polonie których nędzę wieczną
zasłaniał póź emfazą i dostatkami gestów
Zwykł rysować z natury swojej wyobraźni
chciał żeby proch zdeptany miał choć zdobną trumnę
nie mówiąc o jutrzence która go ozłoci
Nie ujrzał wysiedleńców z gruzów nekropolu
lecz śmierć bardziej doszczętną niż miała w zwyczaju
i bezdomność wierności do grobowej deski
i tę deskę grobową połupaną w szczapy
Więc począł współczuć rzeczom z których kształt wypruto
i odjęto imiona nic nie dając w zamian
I nic tylko rysował Rysował nic tylko
A każda jego kreska była przekreśleniem
stanu rzeczy pełniących służbę wartowniczą
pod fortami obłoków pod chmur cytadela
Biedny e x u l pośmiertny bardziej rzeczywisty
niż ci co mu na grobie nie składają kwiatów
To prawda Lecz tej prawdy wrytej w kamieniu
nie ma nigdzie Łza spada Kropla draży kamień
I tak dalej Jak dalej Ta jest pewność tylko
że zawsze bywa Dalej co się w Bliżej zmienia
aż się zdarzy

Dworzec Gdański 1968

pamięci Arnolda Stuckiego

Odjazd Już odjazd
Wchodzić Drzwi zamykać
Odjazd na wyspy zatopione
w głąb wyschłych mórz

to tam w komorze serca
wchodzić drzwi zamykać
spotka swą śmierć zaległą
wmiesza się w jej tłum
spóźniony sam jeden

żegnaj Arnoldzie

a on powiewa z okna
naglejącej dali
zrazu chusteczką tylko
a teraz już niebem
w którym chmura się dłuży
nad nami i trwa

i bezpowrotnie zostajemy

Godzina dojrzała

Już noc godzina dojrzała
będziemy zabijać umarłych

Jeśli zostało coś niecoś
obrócimy w nic a nic

jeśli została kość
nie przyznamy się do niej

jeśli wniebowstąpili
wyślemy wysokie ptaki
by zadziobały ich w niebiesiech

jeśli ich słowo ich gest
zamieszkały między nami
zainstalujemy
źle przewodniki pamięci

jeśli pozostał po nich znak
uczynimy zeń markę fabryczną
np. trutki na szczury

jeśli zostawili sieroctwo
zażegnamy rozłąkę
w ramach akcji łączenia rodzin

bowiem zmarli są zaraźliwi
bowiem zmarli są zbyt wymowni
bowiem zmarli nie mają nic
na nasze usprawiedliwienie

Już noc godzina dojrzała
będziemy zabijać umarłych

nie możemy zostawiać ich
na pastwę wieczności

Obrządek

gdzie św. Sebastian
obrastający celnie
strzałami z piór
uskrzydła się
do odlotu
w zbawienie wysokie

tam łucznik ze zmrużonym okiem
nieopatrzności
gra na lutni cięciwy
sanctus
sanctus
sanctus

Rozalski

Inni mają portrety
on zawsze jest
w oryginale
nieśmiertelny rozalski
w ramach bokobrodów
kamerdyner skałłona
lokaj beselera
odźwierny komendanta
dbały o czas posiłków
i o ciągłość dziejów

Nie podaję mu ręki
żeby nie zakłócić
równowagi tacy
niezachwianej jak księżyc
nad jakąś tam ziemią

Ballada o trzech mociumpańskich

Trzej mociumpańscy w ciemno
jadą przez zaścianki
przez zaduszki moniuszki
szaraczkowych dziejów
imć choźko imć kostrzewski
imć klemens junosza

a wiezie ich truchcikiem
rozweselaj konik
a niosą garść tabaki
i otuchy szczyptę
do kichania i żeby
nam się dobrze działa

wąs mają niezawisły
na borsuczym sadle
a w zanadrzu fortelik
smutków odpuszczenie
flinty zwarzył listopad
styczeń ściał je mrozem

im w zawiesistym niebie
dzień się przyrumienia
na wety na roraty
na panbraty łaty
na koncepcik szeroki
od ucha do ucha

telepią się a koła
po mogiłkach skaczą
aż z wierzchołka jesieni
gawron ich powita
ptak jeszcze jednogłowy

Pieśń o drzewach

Ani

Trwa obrządek sakralny na porębie puszczy
w motylach lotnych zalotnych parzyście
w kamieniu cierpliwym
i w igliwiu mrówczym
w kręgu kultowym borowika śpi

Tu drzew już nie ma
i są jeszcze drzewa
leci z nich liście
będą póki my

umówione jawory
czarnoleskie lipy
rozdarte sosny
ciche grusze i
tych brzóz kilka

Zrywa się pamięć
szumi w nich i skrzypi

na tej porębie z nagrobkami pni
jest taka chwilka

Onegdajszość

pod murem
ślepej ściany września
w której zarosły okna
gdzieś przy ulicy bezimiennej
tak blady
że aż poziomy
stałem
oparty o kręgosłup z lodu

blady że wszystkie biele
ciemniały bił puls wapna
stałem przebrany w
biały strach
ochronny

lufy węszyły
mój niknący siad

a może to
było gdzieindziej
prawdopodobnie gdzieś tam
zapewne nigdzie

może to było
kiedyindziej

prawdopodobnie kiedyś
zapewne nigdy

może to był kto inny
prawdopodobnie ktokolwiek
zapewne nikt

piszę to po latach
po mnie
za – po – mnie

Niejaki dickens

niejaki dickens bardziej wątpliwy
od ducha Marleya
ściga, dłużnika swego Micawbera
czepia się guzików Peggoty

Mała Dorrit go pyta
panie dickens dlaczego
nie napisał pan siebie
to by panu dobrze zrobiło
mówi taki pan błady
że aż nie ma pana

i nie może mu pomóc
w żaden inny sposób
jak tylko odprawiając
swój obrządek
bycia

Pan Tadeusz

Stasiowi Peliwo

Ojczyzno nasza
znana nam
z niedosłyszania
Ty wiatr
daleka klechda
i pot za kołnierzem
Tym co giną
za Ciebie
ledwo migniesz w biegu
w Ciebie się można zamyślić
jedynie
na tych krótkich popasach
na długim wygnaniu
gdy w zgliszczach soplicowa
rośnie epos ciszy

Preludium deszczowe i mysie

Mojej Biece

dzień nosił się z zamiarem
 tego się już nie nosi
żywił nadzieję
 już nie ma czym

na dach nad głową
na grunt pod nogami
chrobotanie się zbiega
tak deszcze i myszy
wydrażają czas

i zegar
tak już nie ma nic
do powiedzenia
jak ksiądz Baka doszczętny
wysłowiony do cna
sepleniący sylaby
spoza abecadła

Pierwieści

Biecie

izba niepamięci naszej
pełna jest
przedmitów
i jeszcze do mej
w podczas
dochodzą pierwieści
czułki snu ich doznają
w dzień wiedzą je pszczoły
muzyka im się modli
siano się rozlega

One idą z głęboka
z zadali
z podedna
i są tak podczerwone
że krew ich nie zazna

i tylko czasem słowo
gdy żywcem pojmane
intonuje ich ciszę

Wyjście z lustra

Lustro podglądające
mnie podejrzanego
jest powierzchowne
ma o mnie
nie najlepsze odbicie

A ja mam zamiary
lewe i prawe
górne i dolne;
a ono trzyma mnie
w dybach prostokąta

połączonym pochlebstwem
w minę mnie obleka
rokokuje
uzbraja gestem

Wychodzę z głębi
na mój brzeg
otrząsam się
z dwóch kropli
podobieństwa
idę na spotkanie
widoków niepowtarzalnych

Wylew luster wezbranych
depcze mi po piętach
i chełbie
cudzych oczu
wyrzuca na piach

Kirá

Siostrze i domowi naszego dzieciństwa

numer 47 ulica Filtrowa
niebo się nie spieszyło
żadną chmurą
najwyżej ptakiem
najniżej chrabąszczem
czy awionetką jak on
dwupłatową
co sfruwała z klangorem
do gniazda lotniska

noszę ten adres
tatuaz pamięci
byłbym zapomniał
o dziecku co cichaczem
zgasło w moich rękach
w moich oczach we mnie
ono tam mieszka

księżyc pachnący
jaśmin we wszystkich kwadrach
hurmem niósł się w okna
w miejskim ogródku
na przedmieściu życia
gdzie ojciec nam zasiewał
proch swej Ukrainy

o czary oczeretów
o porohów poro
o bodiaki szczepione
warszawskim latarniom

mijał tamtędy czasem
z koszem wiklinowym
przekupień raków
i śpiewał na wspak

kirá – kirá – kirá – kirá

gramoliły się tyłem
jakby próbowały
nie wychodząc z koszyka
wycofać się z siebie

Jeszcze jest ta ulica
nie znam tej ulicy
i horyzontem przecięty
świt kosmaty od chmur
jak pies przejechany
na tramwajowym torowisku

zrywa ją ze snu skowyt
radiowozów MO
i pianie karettek reanimacyjnych

więc budzę się gdzie indziej
adresat nieznany
wstaję idę wstecz
przez jary oczerety
dwakroć pogrzebane

kirá – kirá – kirá – kirá

coraz dalej w jaśmin
w czystą biel
niedosłowa

Drohobycz 1920

pamięci Brunona Schulza

Na rynku w Drohobyczu
pod szyldem Gorgoniusza Tobiaszka
pod wieczór smukłe nogi szły
pieczętując się herbem wysokich obcasów
szły przed siebie i wzwyż
czarnych pończoch
przez łydki do wyniosłych podwiązek

stał Bruno za węglem zmierzchu
rzuconym spojrzeniem
zaczepiał czarną pończochę
puszczało oczko wschodziła kometa pończoszników
ku niej merdając ogonami biegły
zwierzęta zodiaku ugłaskane batem

wonczas z czarnego łona
księgi zohar
zrodził się kret czarnoziemnej magii
podmiejski głęboko
a Bruno kabalista na floriańskiej ulicy
karmił go z ręki
i szeptał synu mój synu

Z odpustu

U babki adelajdy
na katarynie studni
wodę się wygrywa
i już się z głębokości
dobywa chleptanie
wiadra łańcuchowego
które broni dobytku
przed ogniem złodziejskim

U babki adelajdy
już się niebo przeciera
na złoty racuch upału
u babki adelajdy
gaiczek zielony
doniczkowy
w parapetach gęstych

odpust przez firanki
cały w chorały
haftowany w bielach
ksiądz proboszcz maluczki
wielkie trzmiele na czele
bębnią w szyby
dobosze odpuszczenia

milczy na becze
ciężarem nadziewany
kamień pełen winy
bardzo wielkiej winy
który ukamienował kwaszoną kapustę
a w kącie skrucę pyszczkiem drobi
kościelna bogobojna mysz
co zjadła w poście popielą

Tangolia 1936

sycyliów nasz podlaski
letniskowa tangolia
z widokiem na pocztówki
od stryja kleofasa
dyszkancik gramofonu
Czarowny Mój Śnie
jeśli pogoda dopisze
burza przejdzie bokiem
lola wacha świeże powietrze
ach jej piersi czubutki
rozpinają oddechem
trzy guziczki bluzki
abram przyniósł tłustą kurę
ona połknęła słomkę na śmierć
no to na obiad
rosół wielkooki
dziadek przedłuża sobie
wąsy makaronem
na etażerze
stary katalog machin rolniczych
i święty Jacek kubek w kubek
jak walet treflowy
gdyby nie okulary
zagrałby nim dziadek w wista
ciotka gruszczyńska
nuci starą piosenkę sam początek
dalej zapomniała
no jak tam było
ba antoś nieboszczyk wiedział
nocą pachnie maciejka
zsiada się mleko
lola ma sny

Dedykacja

Siostrze mojej, Krystynie

Na rudej fotografii
twarz nad gorsetem pelerynką
w kokonie pramody

czytam ją
znaki szczególne
czoło sklepienie
brwi zarysowane
oczy osadzone
pod piórem strusia
(zanurzył głowę w piachu czasów)

twarz z wyrazem
tożsamości
i dedykacją
KLEMENTYNCE I HENRYSIOWI 1862

czyja to twarz
kto komu
w roku owym ścisłym

Trzeba nam jak najprędzej
przedstawić się czasom
aby było wiadomo
po jakim imieniu
byliśmy ze sobą

Twarzą do ziemi

Zbierało się na kanonadę
(kule latały nisko)

na padnij
twarz oddawałeś ziemi
uciekałeś z niebem na karku
przed śmiercią przed ojczyzną
gdzie twoi zmarli polegli
przed życiem się chronią
(odznaczeni pośmiertnym milczeniem)

wśród gorzkich żalów piołunu
pod płomykami rozchodników
nastawiałeś ucha
na przemarsz mrówek
komunikaty chlorofilu
które dyktują nam ziemię

a wszyscy nieobecni
(Bóg o wielu twarzach)
byli w tobie przez chwilę

Jesteś
I opuszczają cię żywego
jak od zmarłych odchodzą wszy

Spis abonentów sieci telefonów miasta stołecznego Warszawy na rok 1938/39

Rafałowi Scharfowi

Po naglej przeprowadzce dokładnych adresów
do onomastyki ogólnej
numery powróciły do abstrakcji liczb
i ciało słowem się stało
w Herbarzu Abonentów

Oto wybrańcy uwierzytelnieni
którzy są Nikim na ulicach Żadnych
a one jeszcze bywają tak ściśle
że można by na oślepie
przejść na drugą stronę
do tej budki z pestkami i chlebowym kwasem

Przeszli na drugą stronę
i ponieważ stoją
w kolejkach drukowanych liter
i wszystko jest w porządku
alfabetycznym
na listach nieobecności

I wywołuje ich głuchy telefon
i dzwoni w pustych miejscach jego czarny dzwon
tym których niegdyś przyłapano
na gorącym uczynku
życia

Rorate odoratae

Zapach roślin tężej słyszeć się daje
czasu chłodno – wilgotnego, jako
po rosie w wieczór

ksiądz Jan Krzysztof Kluk,
Botanika dla szkół narodowych, 1785

i

Kiedy wszystko stłumione
jej nie zaprzeczy ciemność
więc usłysz ten zapach
lotny sens rezedy
tak bujny że poza nim
nie stać ją na siebie
pod brzemieniem
pod brzmieniem woni

tylko świerszcz
nieartykułowany
odprawia ją ścisłe

Jej światłość niejasna
jest siostrą muzyki
na pięciolinii
niespełnionej tęczy

w niej mozart botaniczny
dojrzały do ciszy
w niej zielone pojęcie
żółte i niebieskie

kto ją wie
prócz oddechu
wskrzescielkę bezwiednej pamięci

on spełnia ją
błądzi w niej nieomylnie
i czerpie wielodźwięk kolorów
podanych w wątpliwość nocy

ii

fiolet jest letni
mieszaniec gorącej czerwieni
i chłodnego niebiestwa

noszą go biskupi i śliwki
jest w nim niebieska świeczka
i bieski ogarek

we wrzosie
ku czerwieni się przesila
we fiołkach
szafir go studzi

ale na dnie ma kroplę
która nie sinieje

nią pachnie

iii

przeczytawszy kryminał w odcinkach
moja babcia kwietna
dziękowała świętej teresce
za to że ten rewolwer wystrzelił na niby

w bocznej nawie gdzie aniołowie
iskają pióra z grzechów cudzych
karmiła świętą pęczkami konwalii

wiedziała
jest w konwaliach
prawda objawiona
suplik niedozielonych
kornych litanijek
które się wonnościami rozlegają szczerze
aż po echo białe

modlitwy z nich czytała
czuła pismo nosem
wiedziała
co się święci
w konwalii

Pejzaż Ani

(TRÓJKĄTY GŁOWOREKIE
ALA I KTOŚTAM
IDĄ SZUKAĆ SKARBÓW)

ciepło ciepło gorąco
pod słońca
kółkiem graniastym

potykają się o Gryzmoł
co się zaczął na drodze
ale on nie gryzie

biegną nad rzekę
ona się tutaj nie zdążyła zacząć
ale tam dalej
jeszcze jaka

o tam tam gdzie nie widać
prędzej tuż tuż za brzegiem zeszytu

o już wpadła do morza

(TAM NA DNIE SPOCZYWAJĄ
WRAKI NASZYCH STARYCH OKRĘTÓW
Z PAPIERU)

Mój traf ślepy

Oprócz milczenia
stugarbnego
co przez sahary ciszy człapie
a kiedy dobrnie do oazy
nabierze wody w usta

oprócz milczenia
co nie przejdzie
przez ucho
igły w stogu siana

nie wiem nic. To mój traf ślepy
więcej wie niż wszystko
jest muchą która po ciemku
mięso przy dybie

mój traf się rozmnaża
w jałowiźnie ciszy
nie nadaje się do

on warczy w głębi
zły rdzeń sedno dzikie
gorączka rzeczy zimnokrwistych

To ja go wzywam i wzywam
na sąd nieostateczny
będę go sądzić
po sobie

Powolność

Omijam nieruchmo pęd
upalnych szos
siedzę nisko
pod lasem
z nogami w zimnej trawie

ja już zdażyłem

to mój stary pośpiech
kurz teraz wzbija sam
kołami obraca

Ja wchodzę w posiadanie
swych nieruchomości
urządzam się powoli
zamieszkuję liść
moim potem go poję

tu pod blaszanym niebem
które spawają samoloty
gdzie wietrzą się od dawna
wszystkie oddalenia

zanim w późnej gęstwinie
zasnę na cały las

* * *

babie lato prababie lato
niebo biorą na farbkę
do bielienia lnu
świat się powtarza
chwała Bogu
żółcistość słoneczników
ucierają trzmielce
i wiatr jest
roztargnieniem
pajęczyn

* * *

Jedz miód, synu mój, bo dobry, i plastr
słodki podniebieniu twemu.

Przypowieści Salomonowe, XXIV, 13

Miód żyje tylko
w sześciokątach bo
zapewniają mu
równowagę słodczy

ich kształt jest
zamiarem gwiazdy
sześciorgiem
domyślnych trójkątów
pijących ze źródła środka

spowite w pojemność
najoszczędniej szczodra
ażeby nie uronić
ani kropli miejsca

aż pszczelarz niebieski
oblize palec boży
wskazujący
złote sedno smaku
gwałtem żądeł
niańczone
aż do łagodności

* * *

jeszcze rozlega się onegdaj
jeszcze wrzosów powonne
a żagiewka wiewiórcza
już z gałęzi na gałąź
i jawor za jaworem
podpała jesienią

jeszcze na niebie trzeciej pory
zachodu stary bohomasz
a sen dopiero nocą
bazgrze i gryzmoli
triasem kredą w kominie
wieczny bilans gwiezdny
oddziela zgasłe światła
od spelzłych ciemności

noce okopcą sadzą
runy snu i w oczy
będzie się osypywał popiół gwiazd
niedoczekanie nasze
przyjmie snów jałmużnę
szczyptę soli lży wyschłej
cołaska wigilijna
zbawi nas na chwilę
od przeciągu ciemności
i wróci Matka Bezpowrotna
na dobre
zapomniane
na pieczenie ciast

Cantabile

pamięci Matki

i

Daleko od gwałtownych dróg
gdzie zabijają się samochody
i od rozwlekłej bieli
lotniczych chmur
wrywaj z rzeki srebrne klenie
mnóż kręgi na wodzie
gromadź pełne wory skapstwa

zarabiały na nie jaskółki
nadokiennym garncarstwem
i las za lasem las
aż pusty od drzew
i trzmiel co nad macierzanką
leci nisko basem
tam gdzie odległość czysta
w polu polem leży

tu gnieźdzą się aniołowie
ich biotop niebieski
nie skażony niczym
jednego piórka nie ujmie im
żadnej z nut
opiewają aniołowie

JA DO DZWONECZKÓW LECE
NIE DLA MNIE WIELKIE DZWONY
W CHMURKACH KRAĞŁO ZŁOCONYCH
MIESZKAM JAKO W PASIECE

ii

moja drzewna samotność tu mieszkanie ma
beze mnie wreszcie cała
ze mnie wyrosła nie na moją miarę
karmi się podobieństwem
hoduje różnice

Jeszcze w kościółku zostało coś niecoś
witraże akacjowe świeczniki ze śniedzi
Do czego służą Jakiej mszy zielonej
Niech ci wystarczy jeśli do istnienia
najwierniej wie to wikcia
kalikuje u zbrocza organów
aleluje święcone dobywa z ich studzien
do siódmych potów do siódmego nieba

to pewno dzięki niej jak przedtem
broczysko kluczy po otwartych łąkach
linieje do gołej wody
w żabich olchach ajuści

jak tam będziesz
rozetrzyj liść piołunu w palcach
aż się rozkrzewi zapach rozłożysty
zażegna deszcz odczyni
iżby korcić nieszpór
Niechaj trwa pajęczyna
cedzi posilną ciszę
gdzie świerszcze swe muzyki stroją
gdzie strój dźwięku to właśnie
czysta nagość dźwięku

śpiewają aniołowie

OBŁOCZEK WNIEBOWZIĘTY
KU OZDOBIE SKRZYDLATY
PERKATY NA RORATY
SAM ŚWIĘTY ORNAMENTY

iii

Znów świta po staremu
Przez taki niezmacony ranek
prześwieca piach dawnego dnia
i jeszcze płytkie wczoraj
jestem stąd po kądzieli
kądziel się rozprzędła
z niej babie lato
Niejeden krajobraz
przeminął tuż obok
ostateczną jesienią
posiał drobną zdrowaškę
kościół z niej się wieży

i z wigilijnych śniegów

tają pod świec pozłotą
gruszki w popiele kolęd
zasypiane słodko

poza tym wkoło tereny łowieckie
anioły nie są pod ochroną
pod ochroną są dropie
bo dropi już nie ma

śpiewają aniołowie
skrzypi gwiazda mrozu

Modlitwa do świętej wszy

Było to wiosną 1944 r. w czasie
odwzania bloku cygańskiego
w obozie Auschwitz – Birkenau

spódnice chusty
wiedły w odwzalni
całe w barwach ochronnych

w makach jaskrach skabiozach
na wypadek łąki
która się nie zdarzy

Cyganka w łaźni birkenau
odarta z kolorów
z zaciśniętą pięścią
przyodziana
w długą wodę fałdzistą

ukryła w dłoni
ziarnko życia
nasienie ucieczki
pomiędzy linią życia
a linią serca
na rozstajnych drogach
chiromancji

schowała w garści
ostatnią wesz
która zawsze odchodzi
kiedy śmierć przychodzi
śpiewała Cyganka
w łaźni birkenau

*swanta dżuw
na dża mandyr*

święta wszy
nie opuszczaj mnie
nie dam ci odejść
tylko ty mi zostałeś
bóg w piekle nie bywa

twoje siostry odchodzą
od naszych umarłych
ty mi zostań

ocal mnie
święta wszy

podbiegł z pejczem nadzorca
wykręcił jej palce
Co tam masz złodziejko pokaż
ten brylant
monetę złoto

I spadła wesz
i spadła gwiazda

Została pusta dłoń
i niebo puste
I wchodził w nie
za dymem dym
za dymem dym

Śmierć jednoroźca

Jest cygańska wyprzedaż
resztek znad Gangesu
już zbrakło wróżb
już czary poszły za pół ceny
już patelnia nie ćwierknie
pod racuchem złotym
i już warkocze z dymu
kokardy z płomieni
wyprzedane jak leci
i na pierwszy ogień

Jeszcze w kramach zmyślonych
cymbały cymbały
wydają zamiast reszty
drobniaki brzękadeł

I karmiony szalejem
wałach jednoroźec
zdechł w ostatnim namiocie
tylko róg mu żyje
fałszywy przyprawiony
z zabobonnej żerdzi
i jeszcze mu wywija
ogon zamaszysty
z paździerzy farbowanych
pod kolor zachcianki

Jeszcze może się uda
udawany świat
I jeszcze zda się na coś
co się tylko zdaje

Cygańska droga

Papuszy poświęcam

Zabili im konia karego
zabili im drogę siwą

o leży tam
sama z sobą rozstajna
rozkłada się w skwarze

cichcem jechały po niej
maślakami smarowane koła
a kolczyk odpowiadał
na pytania słońca

Zabili im konia karego
zabili im drogę siwą

Więc sprzedali Cyganie
wszystką muzykę ze skrzypiec
na targu w Wieli szewie
bo nie było już dokąd grać

w zaprzęgach psiego wężu
wymykają się
aż tam gdzie ich fortuna
piątym kołem się toczy

Lenartowicz

Gdzie górą wiatr w zaprzęgu wron
zajeżdża karczma chmury
ostatni zabytek
starego budownictwa

gdzie dołem ziemia zrównana z ziemią
i wiejski cmentarz
zażegnujący faszyną krzyży
wylew wezbranej niepamięci

tutaj jest jego zawsze
tutaj jest mazowsze

tutaj go nie dosłownie
ale aż domyślnie
powtarza świerszcz
i sosna
i miedza
i kamień

tu wrócił
i nie odszedł
donikąd do dziś
uciekinier
cierpiący na chroniczną pamięć

Krajobraz wioskowy

wkoło ciszą się łąki
dawnych pobojuwisk

bug na brzegu układa
muszelki i kości

czasem rykoszet osy
z łopianów wystrzeli

tu kiedyś pochowano
jakichś albo nie tu

i nie ma dziury w niebie
jako i na ziemi

Wdrzewowstąpienie

Tyżeś Jezuchryst
syn stolarza
syn prawy wyciosany
od razu śmiertelnie

cudami nie słynący
namaszczon farbami
bo jarmarki odpustne
mieć Pana chcą
na swoją wiarę

Niech będzie koślawiony

Ku twojej chwale
grzybobraniu
świergotu z jaj
wysiadywanie
kolein w piachu
rozwlekanie

A nie masz w tobie
podobieństwa bożego
prócz bezbronności
po której próchno pozna cię
po omacku by zadać
dziupłą rany
a dzikie goździki
przybieżają ukrzyżować
broczyć z ran uderzać
obuchem woni

Któryś się począł
z drzewa ściętego
któryś jest w drzewie
bądź dola twoja

Jutro znów przyjdę

ś. p. Matce mojej – na zawsze obecnej

Coraz niklejsza
i co dzień jej więcej
to dla niej spieszenie
kwitnie kwiat spóźniony

między czwartą a piątą
po południu
poniewczasie
jutro znów przyjdę

nie miałaś czasu
ani na lekarstwo
czas był już obok
ledwo nim zdążyłaś
opatrzyć nas

wziąłem po tobie
tę trochę powietrza
swoim oddycham
twoim westchnę tylko

nie możesz wiedzieć
że komuś zabrakłaś
bo musisz dalej
wiązać koniec z końcem
nieskończoności
bez tchu ostatniego
znakiem krzyża
przekreślać
złe znaki zodiaków

Nie możesz wiedzieć

Ja mam czasu dosyć
wszystek od ciebie
na życie mi starczy

jutro znów przyjdę

8 – 17 X 1971

Swojskie

Śpiewka śpiewanka
u przyzby naszej
coraz bardziej kurza
gdakliwa i Nielotna
grzebiąca nóżką zdatną
na niedzielny rosół

W niej lęgnie się jajo
nie do zniesienia
nie zniesione
samo siebie przerasta
przed urodzeniem z kury
pogrzebane w kurze
z nadzieją na potomstwo
i na jajecznicę

I jest chorał gdakania
miast kurczęcia
i kura wieczna która
od zarania gatunku
dostąpić nie może
zdechnięcia własnego
lot i gniazdo mieniając
na grzędę i rozeń

Kura śpiewanka nasza
na przyzbie gdacząca
w centrum jaja
hoduje
woreczek żółciowy

Świece

Poemy poemity furkotem u świec
u płomieni woskowych
miody pszczele kapele
szły do nich patoką szeroką
muzyką wieczną pasieczną
bieżały wiorsty
działy się dzieje
knieje sag i bylin
tajały świece rosły plastry klechd
i tylko pod westchnieniem
odwracanej karty
pod wzlotem pióra
czólenko płomyka
gubiło wątek złoty
nim ustatkował je poeta
onym oświeconym słowem
co umiało się znaleźć
choć do zguby wiodło
ach była mu pisana
sam ją pisał gdy
pegazy ze źrebcami nieopierzonymi
w stajni hucznej zegara
rozbrykały się
główkoskrzydłe aniołki
zlatywały się
i rondo wygrywały
na świec klarynetach
czasem któryś w szklenicy utonął
świece karłały
poemat się szerzył

Nie ma już takich świec

Na powrót komety Halleya

W bombonierce z uwiedłym
czasem i atlasem
i z przekwitłą kokardą
w miejsce prałakoci
są listy naszych obcych
do naszych nieznanych

pod starą dobrą datą
pocztówek z Galeryi
Malarstwa Polskiego
czaple z kluczem obłoków
lecą z chełmońszczyzny

w gorsecie fotografii
w fiszbinach niedzieli
jwpanna młoda
stąpa dotąd przez dawne
Krakowskie Przedmieście

i ślepa archiwolta
pannie się otwiera
a fryz ją jak muzyka
wieńczy krok po kroku
jwpanna leciutko
unosząc turniurę
z zefirami w raj erze
nie bierze do siebie
ach tej starości świata

więc do siebie wziąć trzeba
tę porę nakarmić
dziś gdy powraca z dawna
kometa Halleya

Trzy tańce polskie

i Polonez czyli epos modrzewiowy

W modrzewiowej dwudrzwiowej
od Księstwa więziony
na trzy spusty zamknięty
volumen francuski
LES MEMOIRES PAR L'ABBE GASPARD

Oblegał go modrzew starodrzew
do szpiku przejmowała
stęchlizna świronków
na pokucie tutejszej za grzechy
łóńskie napoleońskie

Pod koniec listopada
wziął klucz pan Kajetan
i poległ z tym kluczem

Nikt do księgi nie sięgał
jeno owad boży
pukały tam komiki
rozumiały papier
przenikliwie aż na wskroś
mimo francuszczyzny

I uległa się księga
niby ser dostały
pożółkły jej burgundie
zachodziły miodem
imćpaniedobrodziejskim

Tak czamarzył ją barszczył
tak oswajał do cna
Ksiądz Wujek starej szafy
szafarz przeobrażeń
że po stuleciu z górą
kalwaryjską górą
dokonało się dzieło
i księga się sama
przetłumaczyła całkiem
na te wielce płowe
mazowiecko buczacko płocko tromtadrackie
OCCA KACPRA SPOMINKI
I jak psalterz ją niosą

Adalberg i Brückner
Szopen Linde i Leśmian
i nikt jej nie musi

Ona czyta się sama

ii Mazur wiekuisty

Ach przemyślności nasza
te kosy te butelki
ten mazur zegarowy
z przedwczesnym zapłonem
ta kraina na straży
trybów warunkowych
w cieniu wierzby przetartym
gdzie haft na sukmanie
wzory na słuckim pasie
były barwą ochronną
nagłej spodziewanej

Ach przemyślności nasza
miałki piasek siać
by wzeszły góry
w równinach zapadłych
znać ugór łąkę
jak turkuć i pszczoła
aż do źdźbła do cna
do odwrotu skiby
modłami niebo tak orać
niech rodzi
deszcze to słońca
tak się w piorun zbroić
stolecie wiwatować na pogorzelisku
pomiędzy kurwamacją
a bądzwolatwoją
zachód słony od potu
jak barszcz
przed snem chłeptać

Ach przemyślności nasza
widzimi się nadziei
wyczerpanej przetakiem
Dziw raróg oszedziały
co się dzielny dzielił
łowiąc łowczym sobola
sobie tło czerwone

Ach święta przemyślności
tutaj się czart od zawsze
z cudzoziemska nosi
tutaj kędzior niepłowy
i niemodne oczy
niewinowajcy nasi
więc nie odpuszczamy

Ach dobra nasza
dobra tylko nasza
hop dziś dziś jutro
i na wieki wieków

iii Menuet polski czyli ostatnia potyczka rzeczyłotolitej

Latem 1796 r. bawił w Grodnie po swej
abdykacji Stanisław August z dworem,
nim wywieziono go do Petersburga. Bale,
wróżby z kart i kuglarstwa sztukmistrza
Pinettiego rozpraszały melancholię.

W królestwie kabały
pod berłem alias różdżką
Signora Pinetti
w zwiewnej żałobie
czarnoksięstwa
bal się zacząć raczy
(o jak tupią grudy
o trumienne wieko)
Kamerdynerom rozkazano
ognia
i jęły się szczyryć
świeczniki kandelabry
migotem szczyrołotem
w trzepocie wachlarzy
niczym skrzydeł husarskich

Z coraz mroczniejszej
Rzeczypospolitej
nadleciały oskrzydłając Grodno
nocne émy
zmierzchnice omacnice
zmroczniki nastroszę
w ogień z furkotem szły

Skrzydła im świeca obrębiała złotem
i sfruwały płomieniem

w menuetów koronki
w peruczki ichmośćpanów
za dekolt mamzelek
wzniecały aureole
i spazmy grodzieńskie

Batystami chusteczek
jako chorągwiemi
łopotać ach odganiać
owadzie najazdy
i widelców dobywać
utkwionych w kapłonach
by dać zbrojną odprawę

Jest bąbel na ramieniu
skaza na dekolcie
póki co trzeba cierpieć
un peu dla Ojczyzny
jutro dmuchać na zimne
mgły Sankt Petersburga

Do niedzielnego balu
w pudrach się wygoi
nim madame Vigée Lebrun
pędzel z barwiczek oschnie
w złotych ramach
opatrzy urodą
i do tańca poprosi król
Resztę kuglarz Pinetti
cudowaniem zbawi
Bo gdy mu księżę Repnin
rzekł fora ze dwora
przez cztery bramy
wyszedł jednocześnie
i powtórnie się zjawił
bram nie odemknąwszy

Odtąd odsiecz
w czarnoksięstwie szukaj
Na dnie sakwojażu
u pani Urszuli
jest z kart rzeczpospolitka
w sam raz do kabały
gdzie wino na stypę
dzwonki na żalobę
czerwień na rany Boga
żołędzie
by z nich kiedyś
nowy bal wy dębić

Wszystko to czego nie wiem

Ni strzępka ni litery
i wonczas się poczęło

wertowanie domysłów
paginacja cudów
w okładkach pozostałych
po wyrwanej książce

tytułu nie pamiętam

pewno przerósł go sobą
boski słoń z okładki
co niósł mnie w palankinie
w takie strony świata
gdzie jeśli się coś dzieje
dzieje się na zawsze
gdzie choć dni świętych nie ma
trwają święte chwile

sześćdziesiąt lat już jadę
przez pory tak pojemne
że zmieszczą wieki wieków
w kolory tak rozległe
że pękają tęcze
tyle już lat rozsiewam
wiatropylne słowa
by odrosła mi księga
przede mną wydarta

tak wpisuję w jej karty
nie odnalezione
to wszystko czego nie wiem

Inicjał

gdzie wąż zielony w ciemnym loszku na dnie
pod pokrywą omszałą z dudnienia i drewna
zwijał się wokół siebie i rozwijał z siebie
jak obierka zawiła zestrugana mieczem
z kwaśnej planetoidy jabłka królewskiego
nie zajrzałem pod wieko nie widziałem węża
ale wiedziałem go pętla po pętli
jak pił wilgocie jak się pał ciemnością
i rozumiałem aż do dna po latach
które jak on w meandrach spełzły mi na niczym
że to po prostu był aż tak pokrętnie
jadowity inicjał w mych snów abecadle
i że jesienią bywał po omacku złoty
i że łacińskie musiał imię mieć

Droga na Zuzelę

i znowu idę lasem drogą na Zuzelę

niech wszystko się powtarza jak
dwusylabowych kukulek głos
znanych tu tylko z usłyszenia

chcą mi wymierzyć przyszły czas
i z kukulczego lęgu
podrzucić jajko horoskopu
żeby się wyklął z niego
los żółtodzioby

mój strach mu wije gniazdo

słucham kukułko nie usłucham
ominę głos twój jeszcze nie przeminę
i znowu lasem od Zuzeli drogą
wrócę do siebie
nieśmiertelny prawie

Zooteologia

Zwierzęta starsi bracia wilcy i ptakowie
trzody stada i chmary Bogu winne ducha
więc jeśli go nie mają pod sierścią i pierzem
to już niewypłacalni aż do końca świata
a przecież z nich wysnuto i nieba i piekła
gdy rogi czworonogów przypisano Diabłu
i ptasie skrzydła wmówiono Aniołom
a Serafy w trójnasób obarczono lotem
Odtąd bodzie trzepocze zooteologia
na wieki wieków amen kopytna i lotna
Składam jej słowa tylko nie znając świergotu
a boża krówka nosi znaki przestankowe

Z zeszytu do przyrody

1

ten krajobraz niezmienny
z dożywotnią brzozą
z wiatrem co drzewo szarpie
i w miejscu zostawia
już wie że na odwrocie
że po lewej stronie
ma ciemność
gdzie cierpliwie
lęgną się pająki

2

gołębie pogodne
z tęczą na szyi
są raz przy razie
nabite piórami

strzała która z nas rośnie
nie boli

3

ważka
róźdzka olśnienia
z szafiroszmaragdu
z parą ogromnych oczu
nadmuchanych wzrokiem
wznosi się na przejrzystym
napomknieniu skrzydeł

znieruchomieje nagle
czas wstrzyma jak oddech

aby spocząć na chwilę
na próbę wieczności
w przystani równowagi
w sobie samej
w ważce

4

po liściach ich poznacie je
rzekł był Pan
i odtąd liścia wykrojem
wyraża się
klonu gwiazda
serce topoli

5

do ślepych ciem się odzywa
zapachem
kwiat donośny dalekosiężny

każdy w swoim narzeczu

6

pióro opadające
zwleka w powietrzu
jeszcze pamięta skrzydło

7

z gałęzi okiść śnieżna spada
i trop zostawia
siad śniegu na śniegu

8

zarosły ciszą dziuple
w pniach przestrzelonych ptakiem
zgaś czas zaśnij
zgaś czas

nie wypalaj go bez potrzeby
jeszcze może się przydać
na dalszy ciąg lotu

Wyjaśnienie

np. ślepe i zamknięte w sobie
kamienie spod Łukowa
gdy rozbite na dwoje na troje na czworo
odslaniają swe zwoje zataczają kręgi
i światłość wiekuistą
obnażają z mroków

swe przesmyki żarliwe
midasowe złota
zatrzęsienie fioletów
w kryptach ostatecznych

to są te wnętrza te sezamy gdzie
milionoletnie jarzą się kolory
w amonitach co zeszły na dno minerału
przy nich skarby piramid

są tylko niedokładnym powtórzeniem we śnie
a mumie ramzesowe
nie dość nieśmiertelne

no tak myśmy nie mieli przecież tyle czasu
lecz nawet wnętrza jaskiń
w łowach i echach łowów i w bizonach całe
świadczą o dobrych chęciach
późnych czeladników

Moi spóźnieni goście

Moi spóźnieni goście z trzeciorzędu snu
od dawna nie czekam ciągle tacy sami
przyszli zdejmują buty żeby nie pobrudzić
podłóg nie podeptać ciszy
Witam Bógwdom i nie mam nic do powiedzenia
na pytanie co słychać prócz tego że owszem
usłyszałem skomlenie otwieranych drzwi
One jeszcze się cieszą jak mój dawny pies
gdy wracałem do siebie
Siadajcie proszę myślałem że już
nie spotkam was od kiedyście poumierali
to ładnie z waszej strony z tamtej strony że
jesteście choć mi głupio
że ciągle żyję sobie po was po niewczasie
jak gdyby nigdy nic jakby nigdy nikt
więc trochę cierpliwości chwilkę wiekuwieków
muszę opłacić składki posprzątać po sobie
zasnąć zbudzić się zasnąć zbudzić się i znów
tyle tego

Memorial

W czas wymierania książek znów je pisać trzeba
dla nikogo z nawyku co millenia trwa
Jeżeli nie przyziemnie to już niebotycznie
jak pan Dick obłąkany doradca Miss Trotwood
co swoje manuskrypty uskrzydlał w latawce
i rzucał je rozbitek w ocean niebieski
na te łowiska boże na darmo na wiatr

Niech na dno wysokości pójda ciężkie słowa
których tu nikt nie czyta bo i po co komu
memoriały ulotne
modły bez adresu

Kropka nad i

ta gwiazda mówią spóźnia się niechący
o półtora miliona lat świetlnych
to dobrze się złożyło
że oto przedwieczna
właśnie dziś w piątek o trzeciej nad ranem
zdażyła w ostatniej chwili
przeoczyć mnie z wysoka
i nad moim istnieniem
pozostawić zaległą kropkę.

Sierpień

schodzę do moich piwnic przed afryką
co nadciągnęła nad naszą dzielnicę
i otworzyła drozdom dziobki nie do śpiewu

w nocy myślałem że to słychać deszcz
że zacina ulewa a to tylko słoma
takim szumem się zrywa kiedy na sienniku
przewracam się z boku na bok

Z Polemkowszczyzny

w zaroślach podbiałów
w chaszczach przetaczników
winniczki
w kopułach muszli
cerkiewkami stoją

u ich podciesi
popi chór
pieśń bohomołną
jak trzmielił tak trzmieli
kyrielejson

czas ospały
szedł tędy zawrócił
hospody

ślimak
podrożeć czarny
drogę przebiegł mu

NMPanna pokątna

w modrej szatce
otartej o niebo w czas wniebowzięcia
stoi w kwefach pajęczyn
przenajpanniejsza
z dala od kłębowiska zmij depcze
węża niewinnego jeszcze zielonego
noskiem trzewiczka wacha i odtrąca
jabłuszko szkarłatne
wypnane z raju
co się przyturlało aż tu
do zarab kościelnych

Ani widu ani słychu

jakby się ślepy lirnik zeszedł
z obraznikiem głuchym
i każdy
wiedział swoje

a u ikony
ogłoconej z siebie
modliła się muzyka
bezgłośnie jak światło

Nie wiem nie zdążę nie chcę

Niczego się nie spodziewam
oprócz niespodzianek
i niewiele pamiętam
oprócz zapomnienia
Zatrzymaj się zauważ
mówi mi data pora

A ja dalekobieżny
w zawrotnym bezruchu
zatrzymuję się tylko
nad tym listem spłowiałym
na który się spóźniłem
odpisać na zawsze

Pokochaj mnie choć trochę
choć tę jedną chwilę
mówi mi chwila jedna
A jak się to robi
nie wiem nie zdążę nie chcę
ty wytrwasz ja minę

Inskrypcja parzysta

1

Wdzięczność moja bezdrożom
że błędę tak trafnie
ogniowi co miał spalić
a grzał i rozwidniał
omyłkom co znajdują
więcej niż zgubiłem
niewiedzy mojej
co pomija
tylko to co jest
ani źdźbła więcej

2

ulegam przedawnieniu
znów ktoś odszedł zewsząd
dowodów na mnie coraz mniej
i kto teraz uwierzy
w te moje gołosłowne lata
w prawdy tak nieprzekupne
że nieopłacalne

